

- Co on robi? - mruknął w zasadzie do nikogo kamerzysta Ted.

Freddie Clyde, jedna z największych gwiazd telewizji TTC, wybierał się właśnie na poranne łowy. Jak zwykle Freddie zostawił moskitierę namiotu niepokojąco rozwartą, wobec czego już o brzasku Ted zastał na swoim czole wielki, krateropodobny ślad po ugryzieniu komara. Poza tym jakże uroczym wstępem do dnia, swędziało go dosłownie wszystko. Choć świetnie zdawał sobie sprawę, że groźba wstawania we wczesnych godzinach rannych jest w jego nowej robocie realna i ma się dobrze, to tego, czym właśnie raczył go przełożony, kompletnie się nie spodziewał.

- Ej, Średni, Średni! - rozbudził technicznego. - Patrz, co on wyprawia...

- Umm... - jęknął w odpowiedzi Średni. Nie chciało mu się otwierać oczu, bo karimata była całkiem wygodna, a przynajmniej zupełnie nieźle imitowała poczucie komfortu. Dopiero kiedy zrozumiał, że jego tyłek padł ofiarą wielokrotnego gwałtu ssących krew insektów, dał sobie spokój z błogą nieświadomością i zaczął się wściekle drapać. Równocześnie zmusiło go to do gwałtownej pobudki i wygrzebania się z namiotu.

Obaj spoglądali teraz w wysuszoną, kalifornijską dolinę podmywaną przez słońce, wstające z kłęzek, niczym zamroczony po nocnym liczeniu bokser.

Freddie Clyde – zgadza się, ten sam Freddie Clyde, którego znali z telewizji i którego programy z pasją śledzili jako nieletnie zakapiory – kroczył właśnie po pustkowiu w samych tylko japonkach, hawajskiej koszuli i bokserkach z wizerunkiem Barta Simpsona, umieszczonym w najbardziej strategicznym miejscu. Człowiek-kpina, człowiek-porażka. Ich eks-idol zataczał się głupawo pomiędzy brązowymi kamieniami, usiłując przy tych niesamowitych manewrach nie dać się zestrzelić nieistniejącemu pociskowi. Jego oczy zdobiły gigantyczne wory, kaskadowo barwiące policzki odcieniami fioletu. Nic dziwnego. Zeszłego wieczoru porządnie zapił, nie dając swej wątrobie żadnych szans. Teraz ciągnął za sobą woń solidnego, niemal definiującego jego styl kaca. Teren wokół namiotu naszpikowany był zresztą pogniecionymi puszkami po piwie, co niezbiecie potwierdzało aktualny, jak i wręcz naturalny, stan niezłomnego podróżnika.

- Panie Clyde? - zawołał za nim Ted, wciąż jeszcze, jako nowy pracownik, nieprzyzwyczajony do owej ekstrawaganckiej rutyny. - Co pan robi?

Freddie Clyde odwrócił się, zogniskował wzrok na pytającym i beknął.

- Szukam skorpionów, młody. Potrzeba paru do materiału. Są tu teraz i na nas łypią, na sto baksów, mówię ci. Wiesz, że nie lubię ich szukać na żywcą, podczas kręcenia. Stresuje mnie to.

Freddie znowu beknął, prawie ślizgając się na przypadkowo wybranej skałce. Wydawało się, że ten sztuczny, pochodzący z samiotkiego wnętrza organizmu odrzut byłby zdolny do wysłania w przestrzeń kosmiczną niejednego promu, ale nie jego. Jemu tylko zsunął z bosych nóg klapki.

- Cholera – skomentował Średni. - Nie chce mi się patrzeć, jak gość robi sobie krzywdę. Idę spać.

- Daj spokój – odparł Ted. - Nakręcmy to. Sceny bonusowe do wydania DVD albo... coś w tym stylu. Co

myślisz?

Średni starał się ocenić szanse Freddiego na nie wpadnięcie twarzą w gniazdo skorpionów. Miał do niego jakiś jard, a zachowywał się tak, jakby go wcale nie zauważał, jakby wciąż szukał, tych swoich skorpionów.

- No – ocenił wreszcie Średni. Clyde pijackim ruchem cudem ocalił się przed klęską. „A więc wciąż mam szefa”. - Ludzie chyba lubią takie akcje.

- W takim wypadku montuję obiektyw - Ted podbiegł do namiotu i wyjął z niego kamerę. - Nagraj tylko porządnie dźwięk, to może uda nam się zarejestrować jakieś efekty. Pierdy, beknięcia, znasz jego repertuar. Trochę śmiechu, łapiesz? Ludzka twarz legendarnego Freddiego Clyda po raz pierwszy w waszych teledzielnikach! Legendarny Clyde to też człowiek! - zakpił.

- Mi to się zdaje – Średni rozłożył zgrabnie statyw na mikrofon. - Że on nie ma ludzkiej twarzy. Raczej tylko zwierzęcą. A poza tym... – pstryknął włącznikiem i już, był gotów. Scena, akcja! - ... to wczoraj mnie prawie ukatrupił. Najpierw opowiedział mi jeden ze swoich świńskich, męczących dowcipów, ten o bananie i dzikusie, a potem zaczął się awanturować i domagać mojej komórki.

- Komórki? Po co?

- Chciał go opowiedzieć mojej matce.

Podeszli bliżej.

Freddie Clyde akurat obrzygiwał któryś z niewinnych krzaków porastających pustynię. Pozytyw był taki, że robił to z dala od namiotu. Kiedy skończył już serwować glebie nieprzetrawione fasolki marki „Campbell”, schylił się i podniósł coś nonszalancko.

- Patrzcie! - uśmiechnął się. Tryskał dumą, starając się jakby zapłodnić współpracowników swoim dobrym samopoczuciem. - Złapałem skorpiona!

Z jego ręki sterczał wierzgający, czarny skorupiak. Morderczy ogon zakończony kolcem mrugał zachęcająco.

- O matko... - Tedowi zaschło w gardle. - O matko...

Średni i Ted zjeżdżili z Freddie Clyde jeszcze gdzieś z pół świata. Oprócz scen standardowych, materiałów zahaczających o nudziarstwo i jakże charakterystyczne dla dokumentów półgodzinne ujęcia natury, przygotowywali oni potajemnie także osobny... projekt. Osobny oraz osobliwy, można powiedzieć.

Na ten przykład w Indiach udało im się uchwycić chwilę, w trakcie której Freddie Clyde we własnej osobie zmagają się z rekordowych rozmiarów kobrą królewską. Oczywiście robi to bez jakiegokolwiek ase-

kuracji, jeśli nie liczyć jego własnych rąk, lewej oraz - dość zaskakująco wolnej akurat od butelki - prawej. Występuje w szortach oraz kamizelce khaki. Oprócz tego – nic. Zero. Jakimś cudem łapie gada prawicą i wymachuje nim zwycięsko. Wtedy Tedowi opada szczęka i następuje natychmiastowe zbliżenie kadru na twarz Freddiego. Ta nie wyraża nawet ułamka pojęcia o zagrożeniu, nie rozświeatla jej choćby przeblýsk strachu albo drobna sugestia niepewności.

W komentarzu do tego akurat materiału Średni postanowił podzielić się opinią, że pijackie, zawile ruchy łokciem oraz palcami Freddiego musiały tak zmylić węża, że ten zupełnie nie był w stanie przewidzieć trajektorii przeprowadzanego ataku. Zwyczajnie pogubił się w starciu z równie nieszablonową próbą porwania.

Innym razem ekipa filmowa wylądowała na wyspie Komodo, położonej we wschodniej Indonezji. Tam też opróżniający się pod palmą Freddie Clyde padł ofiarą paskudnej napaści słynnego „Warana z Komodo”, który „użądlił” go prosto w nogę, tuż nad łydką i niewiele poniżej spuszczonej gaci. Ted i Średni już godzili się ze stratą, bowiem jad warana jest co najmniej cholernie śmiertelny, jednak Clyde... Clyde jak to Clyde, skwitował informację o swej domniemanej śmierci machnięciem ręki i sięgnięciem po szkocką.

O dziwo historia ta zakończyła się szczęśliwie, isticie hollywoodzkim happy endem. Okazało się, że zawartość alkoholu we krwi supergwiazdy TTC zwyczajnie zneutralizowała każde inne gównó szwendające się po jej układzie krwionośnym. Na potwierdzenie tego istnieje, rzecz jasna, odpowiednie nagranie.

„Szkocka nie znosi konkurencji” – miał wówczas rzucić sam zainteresowany-zainfekowany.

Wkrótce potem zarówno alternatywna, jak i pierwotna wersja programu zostały wysłane jedną paczką do siedziby głównej TTC. Ted i Średni martwili się, czy ich praca zostanie doceniona.

Niepotrzebnie.

Freddie Clyde przeciągnął się i podrapał w paru miejscach. Głównie po jajach.

Znowu bolał go łeb, więc niewiele myśląc rozprostował się i szybkim wypadem do kuchni zdobył schłodzone piwo. Było zaledwie trzyprocentowe, dlatego do łóżka przytargał cały sześciopak, po drodze zastanawiając się jeszcze, czy aby na pewno mu wystarczy. W końcu nie pijał kawy.

Znudzony odpalił telewizor i przełączył na któryś z kanałów rozrywkowych. Sto, sto-jeden, nieważne. Akurat jacyś kompletnie anonimowi mu celebryci rozmawiali o gościu, który ciągle chleje, pajacuje i w ogóle, z gorzałą oraz nieświeżym oddechem jest za pan brat. Za nimi wyświetlały się fragmenty jego starych programów przyrodniczych, a oni, ci cali celebryci, tylko siedzieli na krzesłach, machali rękami i uśmiechali się pomiędzy słowami.

„Kurde, to o mnie”.

Freddie zdziwił się, skąd te znajdy mogą tyle wiedzieć o jego licznych hobby. Nawet on tego nie ogarniał. Picie, okazjonalne ćpanie, niekonwencjonalne podejście do życia, te sprawy. Wiedzieli sporo. Sporo za dużo. A przecież nigdy nikomu o tym nie wspominał.

Skończył pierwsze piwo.

Uśmiechnięta blondyna właśnie dość dosadnie opisywała jego życie towarzyskie. Niestety nie mógł użyć zwrotu: „w samych superlatywach”. Najgorsze, że mówiła nawet sensownie. Wiarygodnie.

Nawet sam Freddie dał się jej przekonać, że jest dupkiem.

„Cholera, zaraz będzie o tym, że masturbuję się w kiblu we własnym domu! Też o tym powiedzą?”.

Ale zaraz zadzwonił telefon.

- Halo? – powtórzył dwukrotnie Clyde. Za pierwszym razem chrypa przekształciła słowo w jeden, niekończący się bek, za drugim za to poszło mu już w miarę ok.

- Słuchaj, Freddie – głos głównego producenta korporacji TTC, Aarona Schmitza, był jak młot pneumatyczny, ustawiony na najwyższą moc, pracujący w najbardziej upalny dzień w najbardziej zakorkowanym, pełnym trąbiących aut skrzyżowaniu w ścisłym centrum Nowego Jorku. – Pierwszy sezon „Popisów łowcy skorpionów” sprzedaje się znakomicie. Co ja mówię, to jest uczta dla naszych portfeli!

- Świetnie. Mogę już odłożyć słuchawkę?

Nastąpiła krótka pauza, którą Schmitz spożytkował na ocenę stopnia nietrzeźwości swojej gwiazdy.

- A właściwie... – nieoczekiwanie inicjatywę znowu przejął Freddie. - Dlaczego nie mogę tego znaleźć na Animal Planet? Niby nie oglądam nigdy własnego syfu, no ale to nie jest też tak, że mam to gdzieś od początku do końca.

- Freddie, to idzie prosto do MTV!

- Coś jak dokument kształtujący młodsze pokolenie? – podniecenie w głosie niemal pięćdziesięcioletniego podróżnika prawie eksplodowało. – Będę dokumentalnym Jamiem Oliverem? Rewolucja w sposobie myślenia o florze i faunie?

- Eee... No, coś w tym stylu. Coś w tym stylu – Aaron Schmitz celowo nie rozwijał tematu. Jego marionetkowy podopieczny dalej żył w błogiej nieświadomości, co wszystkim było wszakże na rękę. – Dzwonię do ciebie, żeby przekazać, że nie wiadomo kiedy i czy nakręcimy następną serię. Organizacje siadły nam do tyłka. Próbuję coś z tym zrobić, może się uda. Mam kumpla w zarządzie, postaram się odpowiednio odświeżyć znajomość.

Wkurzona już całkiem gwiazda odpięczętowała drugie piwko.

- Co? Greenpeace? WWF? Kto tym razem? Co za pajace?! Jeśli chodzi o ten portfel z aligatora, to...

Aaron Schmitz zawahał się. Wreszcie nabrał sił głębokim wdechem, nastrajając krtań na kojące tony.

- Nie, nie... Chodzi o fagasów od ochrony praw człowieka i tych drugich, no... komisję etyki, coś z tych rzeczy. Mówią... mówią, że robisz sobie krzywdę.

- Bzdury.

Freddie Clyde rozłączył się i zakrył ustami otwór w aluminiowej puszcze.

„Bzdury!”.

Dość powiedzieć, że Aaron Schmitz nie był tym przesadnie zaskoczony.

Rudy, spocony listonosz jak co miesiąc przyniósł Tedowi tantiemy za pierwszy sezon „Popisów łowcy skorpionów”, rachunki w liczbie dwóch oraz poranną gazetę.

Eks-kamerzysta zaczął ją wertować.

Dawno tak szeroko nie rozpostarł ust.

Artykuł z pierwszej strony donosił, że Freddie Clyde dobił w zeszłym tygodniu do osiemdziesiątki. Za sobą miał łącznie ponad dwieście odcinków swojego bijącego rekordu show. Show, które było najobrzydliwszym formatem wyprodukowanym przez MTV. Show, które Ted i Średni wymyślili kilkadziesiąt lat wcześniej, i w końcu show, którego główny bohater najpewniej nigdy nie widział nawet na oczy.

Czy Ted żałował odejścia na tak wczesnym etapie? Zrobienia z dorosłego gościa klauna? Tego, że nie dołączył do składu drugiego sezonu?

Nie.

Przeżywalność ekip filmowych towarzyszących Freddiemu była znikoma. Właściwie to rotacja następowała każdej, kolejnej jesieni. Ludzie zastępowali się nieprzerwanie, niczym pracownicy w podrzędnym fast-foodzie, a widzowie-klienci prędko wypierali ich ze swoich wspomnień. Ted plus Średni równa się wyćwiczone umiejętności oraz inteligencja, jako fachowcy gwarantowali jakość, sens, jednak wciąż, tym sensem byli bliżsi żółknącym, przemijającym liściom aniżeli trwającym wiecznie pniakom. Nie stanowili kręgosłupa niczego. Wszystko spinał ON. Ten wzgardzony na salonach głupiec.

Ted przecież codziennie sprawdzał i codziennie nie zastawał wzmianki o sobie na Wikipedii. Nic. Wciąż: nic. Nie wspominając o Średnim, przeciętniku jak się patrzy.

W końcu tylko niektórzy ludzie są niezniszczalni, pomyślał Ted. Jednostki. Ci najwybitniejsi w swoich dziedzinach, jakie by one nie były. Łatwo się z nich śmiać, jednak na końcu to i tak śmiejący się ginie pierwszy.

Ginie w mrokach historii.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 01.01.2014 19:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.